

Grossglocknera na żywo po raz pierwszy zobaczyłem latem 2002 roku. Spędzałem wówczas swój pierwszy dłuższy urlop w austriackich Alpach i w dzień odpoczynkowy wybraliśmy się na samochodową wycieczkę słynną Hochalpenstrasse (myto 26 euro). Stojąc na parkingu Gletscherblick pomyślałem sobie, że jak bym wszedł na taką górę, to byłbym dopiero gość...

Ponieważ w tym roku (2004) na wakacje wybieram się do Południowego Tyrolu, w okolice Grupy Ortlera (do 3905 m n.p.m.), postanowiłem zdobyć trochę doświadczenia na nieco większych alpejskich wysokościach, niż wspinałem się do tej pory (do ok. 3100 m). Grossglockner był w tym wypadku znakomitym adresem.

Oczywiście zamierzałem zyskać to doświadczenie pod fachowym okiem i opieką, bo nie należę do tych, co to sami wszystko wiedzą najlepiej. Mój wybór padł na Polski Klub Alpejski z Tychów. Po pierwsze dlatego, że od jakiegoś czasu w Internecie śledziłem jego dokonania i wydały mi się one naprawdę na poziomie, po drugie zaś dlatego, że miał w programie wyprawę w odpowiednie miejsce i w odpowiednim czasie. Kilka rozmów telefonicznych oraz wymiana e-maili z Prezesem Klubu, Bogusiem Magrelem, podbudowały moje wrażenie, że mam do czynienia z właściwymi ludźmi.

Uczestnicy wyprawy PKA spotkali się przy dworcu PKP, w Katowicach, 18 maja. Ku mojej uldze okazało się, że większość kandydatów na zdobywców najwyższego szczytu Austrii jedzie po raz pierwszy z tym Klubem - nie byłem więc jedynym nowym w towarzystwie. Chętnych na „Grossa” było 13 (w tym dwie damy), na szczęście grupę uzupełniali liczebnie Prezes Boguś i prowadzący Albert, a na miejscu miało dojechać trzech goprowców w roli kolejnych prowadzących. Na razie w 15 osób (plus kierowcy) zapakowaliśmy się do dwóch busów VW T4. Po drodze uzupełniliśmy zaopatrzenie i sprzęt. Między innymi każdy dostał torbę żarcia, które moim zdaniem powinno było starczyć na dwukrotnie dłuższy czas, niż przewidywał kalendarz wyprawy. Zresztą, jak ktoś przy okazji mądrze stwierdził, zjeść to by jeszcze może dało radę, ale gorzej z noszeniem.

Okazało się, że Grossglocknera zdobywamy od strony południowej, trzeba więc było dojechać do Kals, objeżdżając Wysokie Taury przez Wiedeń, Graz i Klagenfurt. Na miejsce dotarliśmy o świtaniu - akurat było nieco czasu na przepakowanie plecaków, zanim otworzyli schronisko Lucknerhaus (1920 m). Po skorzystaniu z toalet i kawiarni (kolejność dowolna) udaliśmy się na pierwszy odcinek bojowy. Początkowo szliśmy spokojnym spacerkiem drogą, która stopniowo zawężyła się do ścieżki. Od pierwszego krótkiego postoju koło (nieczynnego) schroniska Lukcnerhütte (2240 m) zaczął się śnieg, początkowo niezbyt głęboki, potem sprawiający momentami pewne problemy. Od czasu do czasu któryś z objuczonych uczestników zapadał się po kolana, albo i po... głębiej, ale mimo tego i

słabo przespanej nocy humory dopisywały. Po jakichś czterech godzinach dotarliśmy do miejsca pierwszego noclegu - Stüdlhütte (2800 m).

Resztę dnia spędziliśmy na odsypianiu, pichceni i robieniu fotek. Warunki w schronisku okazały się zaskakująco luksusowe: w sali o wdzięcznej nazwie „Lager 1” pomieściło się 16 uczestników, na kojach leżały materace, koce i poduszeczki. W umywalni była ciepła woda, a w knajpie zimne piwo, więc nawet najbardziej rozpasane zachcianki można było spełnić. W Stüdlhütte ruch był nawet spory, głównie z powodu narciarzy ski-tourowców, którzy na okolicznych lodowcach wciąż mieli znakomite warunki do hasania.

Ponieważ ze zrozumiałych względów ludność udała się wcześniej na spoczynek, następnego dnia zerwała się po części przed szóstą rano – ku niezadowoleniu głośno protestującego przez sen Prezesa. Dzwoniące gary nie dały spać także pozostałym, stąd przed ósmą wszyscy byli gotowi do drogi. Jak dotąd grupa, choć spora, okazała się sprawna i zdyscyplinowana.

Pierwotnie naszym celem na drugi dzień wspinania było podejście do Erzherzog-Johann-Hütte (3450 m). Pogoda była jednak jak marzenie, stąd coraz śmielej Chief Boguś lansował pomysł, by jeszcze tego samego dnia zaatakować szczyt (3798 m)- przynajmniej częścią składu. Na razie wszystko szło dobrze, na wysokości około 3000 m, przed wejściem na lodowiec Ködnitz Kees założyliśmy pełne uzbrojenie – uprząże i raki, a kijki zamieniliśmy na czekany. Tu też nastąpił podział na zespoły, które odtąd wspinały się cały czas spięte liną. Ja wraz trójką kolegów dostałem się pod komendę Jaro Batora – co potem uznałem za los wygrany na loterii.

Po krótkim przeszkoleniu, jak należy się zachowywać w zespole, co robić z liną, jak trzymać i wbijać czekan, ruszyliśmy w górę lodowcem. Wprawdzie był on pokryty śniegiem, po którym wciąż jeszcze śmigali nieliczni narciarze i snowboardziści, ale z opisu trasy wiem, że miejsce to jest pełne niebezpiecznych szczelin. Teraz w maju nie było z nimi na szczęście kłopotów, bo nad mniejszymi śnieg trzymał się mocno, a jedna czy dwie największe były widoczne z daleka.

Wkrótce przyszedł czas na pierwsze wejście w skały i zaczęły się pierwsze korki. Na początku niektórzy mieli drobne kłopoty ze sprawnym przepinaniem się – ale dzięki cierpliwości prowadzących zespoły stopniowo nabierały wprawy. Droga nie wykazuje istotnych trudności technicznych i ma sporo stałych ubezpieczeń (stalowe liny poręczowe, klamry etc.), ale duża część szlaku prowadzi granią w całkiem sympatycznej ekspozycji. Mnie osobiście jednak bardziej dało się we znaki wcześniejsze podejście w śniegu, gdzie kilka razy solidnie się zdyszałem.

Do Erzherzog-Johann-Hütte dotarliśmy dość sprawnie, ale część ludzi była

już wyraźnie zmęczona. Schronisko, a właściwie o tej porze roku zimowy schron, znajduje się na niewielkiej platformie o jakże adekwatnej nazwie Adlersruhe - co można przetłumaczyć jako miejsce odpoczynku orła. Wprawdzie trzeba by dużo dobrej woli, by nas uznać za orły, ale trochę odpoczynku było potrzebne. Boguś zarządził, że kto się czuje na siłach, lepiej niech idzie dziś, bo nie wiadomo jak będzie z pogodą dnia następnego. Krótko mówiąc, nie mazgać się i do roboty.

Żeby zdążyć wrócić przed nocą, należało wyjść najpóźniej między 14 a 15. Stwierdziwszy, że „chyba pójdę” wziąłem się za topienie śniegu i gotowanie picia, co na wysokości 3450 metrów szło już nieco opornie. Potem jeszcze przyszedł czas na krótkie oględziny lokalu. By wejść (a właściwie zeskoczyć) do schronu trzeba było przemknąć pod lejąca się z dachu wodą, wewnątrz śnieg na podłodze i egipskie ciemności (na pewno lepsze by były egipskie temperatury). A spanie – cóż, nawet nasza grupa miałaby kłopoty z pomieszczeniem się na gotowych miejscach do spania, a kręciło się też parę innych osób.

Logistykę noclegową trzeba było jednak odłożyć na później, w końcu nie przyszliśmy tu spać, ale zdobywać najwyższą górę Austrii. Nasz zespół, pod niezmiennie sprawnym kierownictwem Jarka, wyszedł (od razu związany liną) jako trzeci i ostatni, ale jego skład skurczył się do sztuk trzech (Jan poszedł z inną grupą, a Jurek odłożył wyjście na dzień następny) – czyli szefa, Mirka i mnie. Z początku szliśmy po śniegu prawie płaskim, ale potem zaczęło się dość strome podejście polami firnowymi Glocknerleitl, o nachyleniu dochodzącym do 35 stopni. Znów się porządnie zasapałem, ale okazało się, że wcale nie idziemy tak źle, bo przed wejściem na grań dogoniliśmy poprzedników, którzy wyszli sporo wcześniej.

Teraz zaczęła się kolejna wspinaczka, aczkolwiek technicznie niezbyt trudna. Nadal większość skał przykrywał tu śnieg, a zdobywanie wysokości ułatwiały stałe ubezpieczenia. Tempo jednak spadło, gdyż zaczął się robić lekki tłok. Tylko z naszej grupy działały trzy zespoły, ze szczytu schodziły dwa czy trzy następne. Droga jest tylko jedna, mijanki niezbyt liczne, więc niekiedy trzeba było czekać. Czas się jednak nie marnował, bowiem widoki były bajeczne (czy pisałem, że pogoda była super?). Nic, tylko podziwiać i fotografować. Od czasu do czasu można się też było pokrzepić – niestety, flaszka z pracownice przygotowanym pićm wysliznęła mi się z rękawiczki i poooooosza. Dobrze, że nie był to aparat...

Od słowa do słowa, i znaleźliśmy się na wierzchołku Kleinglockner (3770 m), gdzie Mirek stanowczo zaprotestował ujrawszy Glocknerschartl – wąską i nadzwyczaj eksponowaną przełęczkę pomiędzy Glocknerem małym i dużym. Kawałek dalej było widać jak na dłoni ostatni odcinek drogi i wznoszący się na szczycie Grossglocknera krzyż. Najpierw trzeba było nieco zejść (dość stromo), potem pokonać przełęczkę i wspiąć się ostatnie kilkadziesiąt metrów. Początkowo stromo w skale (to chyba tu te

trudności na II), potem końcówkę zaśnieżona granią.

Tak czy inaczej, na razie trzeba było znów chwilę poczekać. Nasz pierwszy zespół już był na szczycie, drugi prawie. Natomiast za nami szedł facet w średnim wieku z chłopakiem liczącym sobie na oko jakieś 10 wiosen. Przykład zadziałał na nas mobilizująco, toteż wkrótce na ostatnim odcinku grani Grossglocknera mijaliśmy zespół Bogusia schodzący ze szczytu i wymienialiśmy się wrażeniami.

Kilka głębokich oddechów, i oto jesteśmy na samej górze. Nie możemy jednak tańczyć ze szczęścia, bo miejsca mało - a poza tym Jarek przypinał nas na „smyczy” do wyciągów podtrzymujących krzyż. Zresztą za długo nie możemy tu być, bo trzeba przynajmniej zejść z grani, zanim zrobi się ciemno - a jest już blisko 19. Musi jednak starczyć czasu na zrobienie zdjęć, zjedzenie prince-polo i toast herbatą. Jest co fotografować, a widok tym śliczniejszy, że dookoła nie ma żadnego wyższego miejsca. Na wschodzie rozpoznaję charakterystyczny Hoher Sonnblick (3105), na którym byłem w zeszłym roku, w oddali, bardziej na południe, widać Alpy Julijskie, a Jaro twierdzi, że nawet Dolomity. Po prostu morze gór po horyzont.

Tego dnia stanął na szczycie komplet uczestników wyprawy, w sile jednej baby i ośmiu chłopca - oraz oczywiście wszyscy prowadzący. Nasz zespół zamykał stawkę PKA, po nas wspinał się jeszcze wspomniany Austriak z chłopczykiem. Cóż, czas było schodzić, bo słońce już coraz słabiej świeciło. Na szczęście bez większych kłopotów udało nam się dotrzeć do lodowca jeszcze za jasności, choć słońce połyskiwało już jedynie na najwyższych szczytach. Za to śnieg okazał się już nieco przymrożony i znacznie mniej się zapadaliśmy. Stąd Jaro zarządził zejście „na skuśkę”, czyli najkrótszą drogą w dół. Po drodze zresztą wciąż jeszcze filmował (czekamy na premierę!).

Do schroniska dotarliśmy o szarej godzinie. Po drodze obeszło się bez czołówek, ale teraz już trzeba je było wyciągnąć. Pierwsze trzy rzeczy, które chciałem jak najszybciej zrobić to pić, pić i pić. Jako jeden z nielicznych podjąłem się gotowania na dworze, towarzyszył mi Artur, z którym wymienialiśmy na gorąco wrażenia z wejścia. Ci, co mieli iść jutro, poszli spać, bo pobudkę zaplanowano na czwartą.

W końcu i ja poszedłem szykować się do spania. Ponieważ na czterech miejscach mieliśmy spać w sztuk siedem (doszło jeszcze dwóch Słowaków, którzy nie mieli śpiworów), postanowiłem przebrać się w korytarzyku. Stojąc w samych majtasach i resztkach kapci na zaśnieżonej podłodze wzbudziłem podziw nawet u goprowców. Po wczłganiu się do śpiwora rozgrzałem się jednak dość szybko, w czym dopomógł wielokrotnie sprawdzony islandzki polar. Sen jednak nie nadchodził - zapewne dał znać wpływ wysokości. W zaśnięciu nie pomagał też koncert chrapania w wykonaniu reprezentacji Słowacji.

Rano się okazało, że jednak zasnąłem i obudziłem się w miarę dobrej formie – jeśli nie liczyć zakwasów w udach i łydkach. Inni mieli za to czerwone gęby, a Jan, sąsiad z pryczy, to nawet czerwone oczy. Grupa szturmowa już wyszła (z pozostałej piątki uczestników trzech ostatecznie weszło na szczyt), więc można było niespiesznie zająć się śniadaniem i przygotowaniami do zejścia. Zespół w nieznacznie zmodyfikowanym składzie (Jurek poszedł zdobywać, ale dołączyła do nas Asia) sprawnie zszedł po grani, potem przez lodowiec do Stüdlhütte. Tu zabraliśmy pozostawione na przechowanie nadwyżki bagażu (głównie żarcia) i po krótkim odpoczynku udaliśmy się indywidualnie w dół. Wszystko byłoby super, gdyby nie to, że pogoda zdechła – najpierw zaczął sypać śniego-grad, potem (niżej) rozpadało się solidnie. Zejście okazało się przez to nieco nieprzyjemne, ale Wiktor i ja wprowadziliśmy element rozrywkowy w postaci tzw. dupozjazdu.

A na dole? Cóż, schronisko Lucknerhaus to ostoja cywilizacji - łazienka, prysznic, piwo, kobiety i śpiew. No, tak po prawdzie to śpiewu nie było (za mało piwa?). Zanim grupa się skompletowała, zdążyliśmy się przebrać, osuszyć, najeść i nabrać sił przed drogą. Okazało się to zresztą przydatne, bo powrót autami przez trzy kraje trwał dość długo. Za to kierowca za drobna opłatą zawiózł nas do samego Wrocławia (łącznie cztery sztuki stąd pochodziły). Suszenie i pranie rzeczy zajęło mi kilka dni, ale to pikuś. Tak udany wyjazd wart był nawet prania przez dwa tygodnie...;-)

Tomasz Jaźwiński